№ 2.

Warszawa dnia 31 Grudnia / 12 Stycznia R. 1867.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

URYWKI

SPISANE Z PAMIĘTNIKÓW JANA BUGAJA

Z KOŃCA WIEKU XVII.

VI.

WYSZYŃCE.

Mądrze starzy mówili, że dobry sąsiad to lepszy jak brat daleki, a zły to gorszy od moru, głodu, ognia i powietrza. Między nami jednak, o złe sąsiedztwo, co to jak ból zębów męczeństwa swego na chwilę nie przestaje, na chwałę Bożą dosyć trudno, bo żyjące z sobą jak pies z kotem, wszyscy wytykają palcami i obnoszą mową po całym świecie, zachowując w pamięci od wielu wieków, jak zmartwienie z sąsiadem owego Florjana Szarego, za czasów Łokietka. Sąsiedztw za to żyjących z sobą w przygryzkach i w przytyczkach łacniéj napotkać można, co to niby się przyjaźnią niby serdecznią, a równie zawsze mają coś z sobą na pieńku. Ale ta polityka dworska wychodzi tylko z krewkości natury ludzkiéj, i serca na wskróś nie przejmuje, bo niech tylko jaka bieda padnie na kogo, to do pomocy lub pociechy najpierwsi bywają sąsiedzi, jakby w sumieniu swem ocknęli się i żałość jego za uczynki dokuczliwe, chcieli dobrocią ułagodzić.

We wsi szlacheckiéj Wyszyńce, mięszkało dwunastu szlachty jednego prawie herbu, większa połowa jednego nawet nazwiska, krzywo patrząca na przybłędów z zagranicy, co z Wyszyńskiemi małżeństwem połączeni, obsiedli na ich dziedzictwach i zadzierali nosa wyżéj jak wypadało. Jeden z nich Jan Porębski był ze wszystkich najbogatszy, a choć obyczajem nie wyróżniał się od innych i najprostszą pracą nie gardził, jednak solą zapruszył nie jednemu oko, bo Wyszyńskich nie miał w należytem poszanowaniu i zawsze nad nich wynosił Porębskich. Najbardziéj zaś to dokuczało wszystkim, że jak czasem Wyszyńscy w jakim interesie, stanęli na przeciw niemu, to on tego nie brał bardzo do serca, tylko spokojnie mówił:

— Trzeba będzie Wyszyńczaków poskupować, bo to harde, butne, a niespokojne. Dwóch łyknę na śniadanie, czterech na objad, dwóch na wieczerzę, to i zaspokoję się z niemi.

Gdy mu raz jeden z Wyszyńskich rzekł na to:

— Ej! panie bracie z Wyszyńskiemi zawsze należy być z ostrożnością, bo może który stanąć wam kością w gardle.

— To go przepchnę panem Józefem — odrzekł Porębski — a zadławić się nie dam.

Pan Józef Wyszyński był najbliższym sąsiadem Porębskiego, więc takie dokuczliwe słowo najprzód do uszów jego dochodziło a potem obiegało pomiędzy całą szlachtą z różnemi dokładkami, o jakich się nawet Porębskiemu nie śniło. Ztąd wrzenie między wszystkiemi, odgróżki, wyzywki, narady, ale pan Jan na to wszystko tylko się uśmiechał mówiąc:

— Sąsiedzi kochani brykają, a jak się na piękne rozbrykają i słów im zabraknie, to chwycą się swoich fortun i rzucą na mnie niemi niby gałkami ze śniegu. Trzeba się mieć na baczeniu żeby mi oczów nie zapruszyli.

Był to przytyczek do ich małych dziedzictw, rozrzuconych połamkami po różnych stronach jak to zwykle bywa w szlachecczyźnie. Fortuna zaś Poręb-

skiego była w jedności i blisko czwartą część Wyszyńców zajmowało. Więc miał się z czem dumnić, a że i w szkatule nie były pustki, twardości w karku trudno mu było zmiękczyć. Nie był to jednak wcale zły człowiek, lubił tylko przekamarzanie się i jak nawojował, nażartował do syta i w żarcie przesadził że nim ukłół aż do bólu, to zaraz potem z tego żalu przycichł, posłużył w czem zranionemu swoją krewkością, i znowu przerwane przyjacielstwo wracało, jak wypada aby zawsze było między chrześcjanami. Wyszyńscy także byli dobrzy ludzie, ale nie chcieli dać sobie grać na nosie i zawsze siebie uważali za coś lepszego, jako szlachta odwieczna wyrosła na własnéj roli, niby dęby wspaniałe z jéj soków wychodowane. Gdy więc jeden pysznił się bogactwem, drudzy znowu rodem i ztąd powstawały niechęci, obrazy, różne zawziątki, które jak wichura powstawały cichły i znowu rykiem burzyły wieś całą.

Raz jednak przyszło do wielkich termedji, bo do prawowania się. Sprzeczka poszła o las, który szlachta wycinała i niszczyła niemiłosiernie. Porębski jako człowiek gospodarczy i rozumny, naganiał to sąsiadom, powiadając sprawiedliwie że takie obrządzanie się lasem to nie gospodarstwo ale tatarstwo; że trzeba porobić zagajniki i wyznaczyć poręby, bo jak tak daléj pójdzie jak dotąd, to dla następców drzewo stanie się droższe od cynamonu. Szlachta ani słuchać tego nie chciała, odpowiadając na wszystkie przełożenia, iż w dziedzictwie swojem ma wolność rozrządzania się wszystkiem a więc i lasem, według swéj potrzeby i pomyślenia: że nikt nie ma prawa wolności téj ścieśniać, a co do lasu, to mówiła, nie było nas, a był las, nie będzie nas, będzie las. Porębski przekładał, prosił, ale wszystko grochem szło na ścianę, widząc więc że z upartym narodem nie poradzi, postanowił zrobić podział lasu; oddzielić się i poszedł w prawo. Szlachta skoczyła jak oparzona na prawo uderzyła prawem, poczęły się sypać pozwy, wyroki, remissy, kompromisy, kondemnaty, w końcu po dwóch latach prawdziwego piekła, Porębski postawił na swojem i las oddzielony do jego fortuny oznaczono granicznemi kopcami i przykazano szanowanie wyroku. Wyszyńscy nie wygrawszy prawem postanowili hajdamactwem utrzymać się przy lesie, i obławą napadali, rąbali, plondrowali i pasali bydło, jakby w swojéj własności.

Ztąd nowe powstawało prawowanie, a że w niem gołemi rękami nic nie poradzi, więc supłali się z grosza aż się wysupłali i wtedy dopiero otworzyły się im oczy, że wiele w tem wszystkiem pokpili rozumem. Poznali przytem że przy Porębskim stała prawda, bo choć w części lasu przy granicy było szkody niemało, ale w przeciwnéj stronie puściła się taka gęsta podszywka leśna, jakiéj żaden nie zapamiętał. Niektórzy więc radzili aby i w swoim wspólnym lesie zaprowadzić zagajniki i poręby, ale wszystko to zostawiali na późniéj, jak się troszkę zapomogą w zniszczeniu, jakiego przez prawowanie się doznali.

Tymczasem Porębskiego w leśnéj jego własności skubali co tylko mogli, co prawda nie jawnie, bo się lękali nowego prawa i nowych wydatków, ale w skrytości w wielkiéj tajemniczości jak wilki, skradające się do owczarni. Porębski oganiał się pilnował fantował, straszył, ale wszystko na nic się nie zdało, i szlachta z dniem każdym coraz większéj nabierała zawziętosci.

— Poczekaj pyszałku, bogaczu! — mówili między sobą — ty nas dojeżdżasz, ale i w nas krew nie woda. Jakeś wjechał między nas nieproszony, tak wyjedziesz że się nawet na Wyszyńce nie obejrzysz. Nas ośmiu a ty jeden, zobaczemy komu się pierwéj naprzykrzy.

Raz Wyszyńce zawrzały wielką zapalczywością. Dowiedziano się bowiem, że jednego z Wyszyńskich Michała, Porębski w nocy uchwycił nad rankiem razem z wozem i parą końmi i trzyma u siebie w domu w uwięzieniu. Wiadomość o tem wnet dostała się do wszystkich Wyszyńskich, alarm zrobił się wielki, bo żona pana Wojciecha obiegała dwory koleją i wywodziła różne żale i lamentacje.

— Panowie sąsiedzi — mówiła zaperzona białogłowa — dyshonor jaki spotkał mego, was równie dotyczy bo jeszcze jak świat światem żaden Wyszyński niezaznał niczyjego gwałtu. Radźcie, ratujcie żeby nie przyszło do jakiéj okazji, coby sromem okrył naszą ojcowiznę i herbowi przyniósł uszczerbek.

— To kryminał! — wykrzykiwali Wyszyńscy pokręcając wąsy — mospanienku trzeba zrobić najazd i odbić więźnia żeby go wydrzeć z pazurów Porębczyka. Co to? — będzie na nas sidła zastawiał jak na dzikie zwierzę? Poczekaj bratuniu, nosisz hardo głowę, ale ją poniżysz do saméj ziemi.

Po krzykach i odgróżkach w których najwięcéj napsowała słów pani Wojciechowa wywodząc żale z wielką zaciętością, uradzono wreszcie że wszyscy Wyszyńscy i trzéj innego miana sąsiedzi, wyruszą razem do dworu Porębskiego z domaganiem się wypuszczenia więźnia, a jeżeli przełożenia wszelkie nic nie poradzą, siłą pojdą na siłę i gwałtem za gwałt zapłacą. Żeby jednak wiedzieć jak się w takim wypadku obrządzić, wysłano na zwiady jednego z młodych chłopaków, przykazując mu aby cichaczem wypenetrował co się dzieje u Porębskiego i gdzie siedzi odwieziony pan Wojciech, czy w izbie, czy w szpichlerzu, czy też w jakim innym gospodarskim budynku. Był to jak podjazd wysłany przeciw nieprzyjacielowi, do czego Wyszyńscy wszyscy dobrze byli zaprawieni.

— Jeżeli siedzi w izbie — mówili między sobą — to wszystko poprowadziemy z łagodnością: jeżeli w spichlerzu to drzwi wyrąbiemy, żeby mu zostawić pamiątkę jak ma szanować Wyszyńskich. Jeżeli w oborze to wystawiemy ścianę, a jeżeli broń Boże w chlewie, to go rozrzuciemy i porąbiemy na drzazgi żeby nawet śladu nie zostało, gdzie Wyszyńskiego spotkał taki dyshonor.

Na to ostatnie przypuszczenie, szlachta aż pokraśniała, i tylko pomrukiwała jak niedźwiedź w kniei po chybnym do siebie strzale. Wszyscy bowiem już się zgromadzili do dworku pana Wojciecha i z wyprawą czekali na powrót chłopca, który jak pobiegł tak przepadł bez wieści. Tymczasem w izbie gwarzono i naradzano się.

Jaki taki wychodził za węgieł na przepatry, czy gdzie nie dojrzy wysłańca na przeszpiegi, ale wszystko na próżno. Niecierpliwość więc rosła coraz bar-

dziéj pani Wojciechowa labodziła, szlachta nudziła, a tu czas upływał.

— Musiał go także uchwycić — odezwał się jeden z Wyszyńskich — to mądra sztuczka i zna wszystkie fortele wojenne. Nie ma więc rady panowie bracia, tylko trzeba iść i spełnić swoją powinność. Kto wie w jakich tam pan Wojciech jest opałach, zwłóczyć więc nie należy...

— Biedaczek od północka niczem się nie pokrzepił — wtrąciła pani Wojciechowa — może jeszcze na zdrowiu zaszwankować. Ruszono więc prosto błoniem, z zawziętością, z gniewem, ściskając pięście i pokręcając zamaszyście wąsy. Przy wrotach zatrzymali się wszyscy i jak żórawie przez wierzch wytknęli głowy, pilnie przepatrując i nadsłuchując. W całem otoczeniu była cisza jakby świąteczna. Na podwórzu igrały trzy psy wyprawiając różne szprynce i skoki, a z okien dworku otwartych, bo jesień była ciepła i pogodna, wychodziły głosy, trochę do rozmawiania a troszkę do śpiewu składające się.

Porębczyk widać pacierze odmawia — szepnęli między sobą nadsłuchujący — chodźwa śmiało...

— Poczekajmy jeszcze — odezwało się kilka głosów — każdą modlitwę należy szanować choćby nieprzyjacielską, bo to rozmowa duszy z panem Bogiem.

— Ha! to poczekajmy.

W tem głosy gwarniejsze ozwały się, potem śmianie się, wreszcie śpiew wesoły jakiego zwykle używa się przy piciu w poczciwéj kompanij:

Wino twoje
W gardło moje
Leję za twe zdrowie.
Niech mi bracie,
Miły swacie
Szumi dobrze w głowie.

W śpiewaniu tem wyraźnie przebijały się dwa grube głosy, Porębskiego i pana Wojciecha a między niemi trzeci cienki, tak wyczekiwanego wysłańca, który zamiast do szpiegowania przysiadł się do traktamentu. Potem usłyszano brzęknienie, późniéj nastała cisza, a potem cosić stukło jak szklanki postawione na stole. Szlachta oblizněła się łakomie i spojrzała po sobie. Wreszcie ozwał się głos pana Wojciecha:

— No mój sąsiedzie, muszę jechać do domu, bo tam kobieta niespokojna, Bóg wie co pomyśli o mojéj niewoli.

— Ja polecę chyłkiem łąkami — odezwał się chłopak — dla niepoznaki: niby że wracam z lasu.

— Będzie ci kwaśno penetrańcie — szepnął pan Wojciech.

— I panu Wojciechowi nie naleje pana Wojciechowi miodu w gardło.

Rozśmieli się na to starsi a p. Wojciech powstając rzekł:

— No Bóg wam zapłać za przyjęcie, a mnie wybaczcie moją niepoczciwość, któréj wstydzę się jak maluśkie dziecko przydybane na łasowaniu.

— Wy mnie owszem przebaczcie za przyaresztowanie — odrzekł na to Porębski — bo ja wiem że w każdéj okazji, sąsiada należy szanować. Gdyby jednak nie to wasze zamotanie się nie miałbym was w swojéj gościnie. Więc na braterstwo i podziękowanie, piję zdrowie wszystkich Wyszyńskich. Wiwat niech żyją!

— Wiwat! powtórzył pan Wojciech.

Słuchająca szlachta dziwnie pomarkotniała jak głodny, gdy mu łyżkę odtrącą od saméj gęby. Skuliła ramion, mruknęła i cichaczem ruszyła do powrotu, wstydząc się swego posądku i zrobionéj wyprawy. Pani Wojciechowa dowiedziawszy się o wszystkiem, klasnęła w ręce i rzekła:

— A nie mogliście to mu zrobić jakiéj przeszkody w dalszéj pijatyce? Jak się zaprawi do takiego więziennego życia, to potem rady z nim sobie nie dam. Zmyję ja mu głowę jak powróci, drzewa w domu ani kawałka, a on zabawia się. Poczekaj panie Wyszyński. (d. c. n.)

Korespondencja z Paryża.

Karnawał w Paryżu rozpoczął się w ostatni dzień zeszłego roku aktem wściekłéj wesołości, która zdaje się, że przez cały czas zapustnéj uciechy, nieopuści stolicy świata i jak rozigrana bachantka z miejsc publicznych przeniesie się do salonu, a nawet zajrzy w podziemia i strychy paryzkie. Całem sercem zazdroszcząc im téj chętki zabawy, nie dziwię się jéj zupełnie. Po pracy odpoczynek, rajem się staje, a Paryż pracuje od nędzarza do bogacza szczerze, zawzięcie wyjąwszy tak zwaną złotą młodzież, która jak wszędzie a u nas podobno najwięcéj, w próżniactwie zbytku i hulance marnuje najpiękniejsze dnie swego żywota.

Hasło do zabawy wyszło z balu opery, któréj ogromny gmach uilliminowany od dołu do góry zdaleka odbijał łunę jakby pożaru, a dla oczów przedstawiał się jak góra objęta płomieniem. Paryż przedewszystkiem lubi lustra i oświetlenie aż do zbytku i przesady.

W dzień, w każdym magazynie, sklepie i sklepiku, w najmniejszéj i największéj restauracji lub kawiarni zdaje ci się że jesteś w zaczarowanem miejscu, bo gdzie człowiek spojrzy, w prawo, w lewo, wszędzie dojrzy siebie odbitego w dziesiątkach postaci, z pleców, z twarzy z boku, tu bliżéj tam daléj, jeszcze daléj i tak bez końca. W nocy znów, wszystko pała gazem, błyszczy, miga, goreje, że z ziębnięty ogrzać się może, a niewidomy przewidzieć. Czyżby to zamiłowanie luster i światła miało symbolizować moralny ustrój społeczności paryzkiéj wyciągającéj zawsze jedną rękę do fraszek, drugą do dzieł nieśmiertelnych rozświetlających ciemnicę ludzkości? Wracając do balu, gmach opery jaśniał zdala rzęsistem oświetleniem gazowem. Około północy w przedsionek pokryty dachem zaczęły zajeżdżać powozy, snując się długą linją ginącą w ulicznem oddaleniu. Bokami płynęły tłumy publiczności, tonąc w pięciu rozwartych podwojach, za przekroczeniem których nagle przybysz spostrzegał się jakby w najspanialszéj cieplarni, przystrojonéj w cudownéj piękności kamelje, tulipany, hijacynty, rododendrony, fijołki, narcyzy, tuberozy, róże, lewkonje i inne prześliczne kwiecie.

Korytarze wszystkie zasłane dywanami tłumiły odgłos kroków postępującego tłumu, a gdy płynąc z tą powodzią, rozwarłeś jedne z licznych drzwi, prowadzących do wnętrza gmachu, wywatowanych jak paralityk, aby nie robiły stukotu, nagle rozwijał się przed oczami obraz, o jakim trudno powziąść wyobrażenia, kto go nie widział na własne oczy.

Przedewszystkiem oślepiało światło trzydziestu tysięcy gazowych płomieni, pomieszczonych w trzydziestu ogromnych pająkach: odurzał głos orkiestry złożonéj z trzystu grajków, a przerażała wrzawa tysiącznego tłumu kręcącego się jak w opętaniu w żwawych podskokach i najśmieszniejszych podryganiach. Jakie tylko były i są na świecie narodowości, jakie tylko kiedykolwiek powymyślano najfantastyczniejsze ubiory, wszystko to znajdziesz tu zbite w jednę massę, kręcące się, przekamarzające, rozprawiające, docinające, pełne życia i wesołości. W téj jednak oceanowéj powodzi wszystkiego co stanowi zabawę i pomaga do jéj rozwoju, długo znajdować się nie można. Zwyczajny widz albo oszołomieje i padnie od zawrotu głowy, albo jakby pod wływem czarodziejskiego zaklęcia rzuci się w wir, dzieląc ogólną żądzę uciechy. Lękając się zawrotu i tak już dobrze zakotłowanéj głowy, a nie mając wcale ochoty do tanecznéj krętaniny, po półgodzinnéj bytności pomyślałem o odwrocie. Przebijając się przez tłumy mrowiące się przez cały gmach opery, gdyż krzesła i orkiestra pokryte podłogą równają się ze sceną, rzuciłem spojrzenie na loże.

Cały dół zajęty jest przez ochotników prawdziwéj zabawy. Wytłomaczyć się, nawykręcać, nadowcipkować, wyszeptać setkę grzecznostek, odebrać i ofiarować tyleż rąk uscisków, zabawić oczy, uszy i nogi, to ich cel jedyny na osiągnięcie którego wcale nie marnują czasu. W lożach siedzi zupełnie inna klassa widzów która jedynie przychodzi po to, aby popatrzyć jak się bawi hołota paryzka, nadrwić z niéj nażartować i złapać materjał choć na dzień pogadanki. Na dole wszystkie twarze promienieją radością, oczy się śmieją, błyszczą, usta pokazując ząbki i zęby nie próżnują; ręce pracują jak skrzydła wiatraku, głowy minują i nabuńdziuczają się, nogi skaczą i podrygają; w lożach wszystko zimne, sztywne, znudzone i przesycone. Na dole życie, tu śmierć cię mrozi, dół pociąga, góra odpycha. Tam możesz się zatańczyć i zaweselić, tu zanudzić i zaziewać. Górni widzowie wyprostowani jak dworzanie Ludwika XIV jeżeli rozmawiają z sobą to cichaczem, patrzą tylko przez lornety lub okulary, uśmiechają się półgębkiem, poruszają na jednym paluszku, o powadze i etykiecie nie zapominają na chwilę nawet przy kaszlu i ucieraniu nosa. Są to mumje zastygnięte w formie, przypominające Chińczyków albo katakumby. Uciekam zatem pozostawiając za sobą weselące się tłumy, aby odetchnąć świeżem powietrzem nocy i podumać o Was i o moich.

K. G.

Pogadanka Tygodniowa

W przeszłą niedzielę mieliśmy prawdziwie muzyczną uroczystość, z programem wyłącznie z samych utworów Bethovena ułożonym. Niedawno udarzono nas w ten sam sposób Mozartem, i zawsze sala napełniona była przyzwoitą liczbą słuchaczy, czyli, że się nieduszono, nie szturchano ani popychano, nie gnieciono, jak w prasie, ani nie urywano powłóczystych sukien, które mówiąc nawiasem są zawsze piątem kołem u wozu.

Oj! te ogoniaste suknie, wyborne do motania i łamania nóg, wybijania zębów, a kręcenia karków, jakoś żadnym sposobem nie chcą nas porzucić. Gdyby dodawały urody lub powagi, wreszcie piękności w przystroju, kulilbym ramion, ale bym milczał, wzdychałbym, że korzyści te nie dadzą się innym sposobem otrzymać np. sztucznem przydłużeniem rąk lub piramidalnem ułożeniem włosów, ale bym słówka niepisnął.

Piękność ma prawa którym wszyscy ulegać musimy. Gdyby wreszcie ograniczyły się wielkiemi salonami, o kościelnych sufitach, o lustrzanych posadzkach, dostarczających dla każdéj przynajmniéj dziesięć łokci kwadratowego miejsca, dla swobody ruchu i możności przypatrzenia się zwojom i fałdom harmonizującym zresztą ubrania, także bym usta zamknął. W przedmiocie gustu, dysputa do niczego nie prowadzi. Ale kiedy widzę suknię wlekącą się w publicznych zebraniach, na schodach, w ogrodzie lub na ulicy, tu plączącą się, szarpaną, nadeptywaną, tam szastającą się w pyle, błocie lub po śniegu, taka mnie jakaś dziwna złość ogarnia, że gdyby nie względna przyzwoitość, każdą bym urwał, obciął, lub oderznął, a ze zdobyczy tej sprawiłbym biednym sierotkom kaftaniczki na pociechę nędzy, a ośmieszenie dziwactwa niczem nie usprawiedliwionego.

Tetryczność ta może Was rozśmieszy, ale jeżeli w przyzwyczajeniach, nałogach, upodobaniach, odwzorywywa się człowiek, dla czegóżby i ubiór nie miał być odbiciem moralnych jego zasobów? Pojmuję uwydatnienie i podnoszenie wdzięku przez kolor sukni lub jéj materjał; przez krój i układ garnirowania, przystrojenie stanika, deseń kołnierzyka, zaczesanie włosów, przez kwiatki, łańcuszki i inne podobne ozdoby. Jedne bowiem jako bliskie osoby, posługują rzeczywiście do podniesienia urody, drugie do kształtnego przedstawienia kibici, ale czem długa suknia w miejscach tłumnych, napchanych, przeludnionych, gdzie jéj nie widzą oczy tylko czują nogi, dopomaga tym ważnym przymiotom powierzchowności, tego nigdy ani zrozumieć ani pojąć nie zdołam.

Wracając do ostatniego koncertu p: Bilsego, zebrana publiczność nie była tłumną, ale za to składała się z prawdziwych miłośników poważnéj muzyki. Słuchała bowiem w ciszy, w zupełnem milczeniu jakiego wymaga prawdziwe skupienie ducha, a co najważniejsza że się nie poruszyła do ostatniego taktu, kończącego akordem ostatnią część starannie ułożonego programu, i dopiero wtenczas powstała, kiedy pałeczka dyrektorska złożoną została na pulpicie.* Był to niezmiernie wymowny hołd, oddany sztuce i nieśmiertelnemu twórcy tylu arcydzieł, czyżby miał być równie oznaką podnoszenia się publicznego smaku w muzyce?

Dotąd rąbanina, siekanina, figliki, stuk, huk i puk, przedewszystkiem zachwycały i trafiały do ogólnego gustu. Mozart, Heidn, Bethoven i inni, uważani byli za starych nudziarzy, mantyków, kiedyś wielkich ale dziś przestarzałych, znudniałych, przeżytych i strupieszałych. Zarzucano im brak zręcznéj instrumentacji, któréj rozwinięcie dopiero dzisiejsze, dopomogła do wydobycia niejakiego efektu z prac tych mistrzów dźwięku, zawsze jednak starych formą nieodpowiednią dzisiejszym wymaganiom i wykształceniu ogólnemu.

Było to dowodem skażenia gustu, pełzania po poziomie a niemożności wzniesienia się duchem na wyżyny dostępne dla genjuszów; lekkości, zamiłowania fraszek, lubowania się w błyskotkach, skaczących w oczy i w uszy jak pajac cyrkowy, którego rozumie bez żadnych przygotowań poprzednich, bez studji zarówno ulicznik jak mieszkaniec pałacu.

Dziś zwrot do poważnéj muzyki widoczny. Z dziełami nieśmiertelnych mistrzów często można się spotkać nie tylko na koncertach i wieczorach p. Bilsego, ale nawet w prywatnych zebraniach. Znam kilku młodych głównie oddanych klasycznéj muzyce, którzy jak powiadają sami, wybębniwszy Liszta i Talberga, zastukali do dawnych utworów i w nich dopiero znaleźli lekarstwo, na czczość i pragnienie rozbudzonéj duszy. Muzyka to jeden z czynników uprzystępniających dla zmysłów, uczucia, nie dające się ująć żadną inną formą. Instrument martwy; mistrz kreśli drogi jakiemi ręka artysty ma się posuwać aby wydobyć dźwięki tłumaczące te uczucia. Jak zaś od skromnéj piosenki tanecznéj do wielkiéj symfonji, nieskończona rozmaitość formy, tak samo nieskończona rozmaitość upodobań a w kompozytorach potęga ich talentu.

Mazura, piosenkę, jakiego muzycznego fijołka, każdy rozumie i pojmuje — dzieła większe tylko wybrani. To też tuzinkowych kompozytorów jak poetów bez liku, mistrzów zaledwie kilkunastu policzy i gdy pierwszym przyklaskują tysiące, drugich wielbi i pojmuje szczuplejsze kółko, ale ożywionych duchem wyższym poważniéj na świat patrzącym. Im więc bardziéj kółko to rozszerza się dążąc ku massom, tym społeczność widoczniéj podnosi się i poważnieje. Porzucając fraszki, przestaje się niemi bawić, dlatego rozwijanie się upodobania muzyki klasycznéj, jest zjawiskiem niezmiernie pocieszającem, tymbardziéj że kierunku tego nic już zwichnąć nie potrafi. Oprócz zaś dzieł na całą orkiestrę, znajduje się mnóstwo ułożonych na sam fortepjan na dwie i na cztery ręce, w duetach, tercetach, kwartetach i t. d. Są między niemi kompozycje bardzo trudne, ale jest wiele łatwych a jednak zdumiewających prostotą, pięknością i niezmierną dramatycznością. Ktokolwiek raz się w nie wsłucha, przylgnie potem do nich całą duszą i sam się dziwić będzie jak mógł tych piękności nie znać, jak mógł smakować w innych, podobnych do sztucznych ogni, darzących dymem i swędem za chwilowe błyski podziwu. Tu jest dopiero prawdziwa muzyka, bo przywiązuje, nie nudzi, i coraz nowsze wydobywa piękności. Można się w nią wsłuchiwać do zachwytu, obsłuchać nigdy, bo zawsze będzie świeżą, wielką i zdumiewającą.

Zagadawszy się tak obszernie o muzyce, zrobię wzmiankę choć w kilku słowach o świeżo wyszłym polonezie ułożonym na fortepian przez p. Florjana Oborskiego. Jest w nim gustu wiele, całość rozwinięta z talentem, jakim odznaczają się inne poprzednie kompozycje tego młodego artysty, a po butnym wstępie płynie pieśń miła, serdeczna, w ostatniéj części przechodząca w rzewną melodją, po któréj wraca zaraz do weselszych tonów, zdających się przesuwać przed oczami taneczne pary, snujące się w długim szlaku z ferworem i partesem.

Powiadają że czas utworów polonezowych minął, że myśl posługującą do nich Ogiński wyczerpał a Kurpiński był tylko echem dawno już przebrzmiałych tonów. Nie zgadzam się na to twierdzenie; w muzyce forma pewna nie tak łatwo starzeje się i niknie.

O ile słyszałem p. Oborski głównie ma się poświęcić kompozycji polonezów, do czego zachęcam go całem sercem. Radzę tylko obszerne studja nad pieśniami ludowemi zebranemi i wydanemi przez zacnego i niezmordowanego Oskara Kolberga. Jest to kopalnia niewyczerpana dla każdego kompozytora, a tym więcéj dla pragnącego nucić pieśń, któraby znalazła oddźwięk powszechny. Nie idzie tu o proste przerabianie tego co lud utworzył, ale o ukształcenie myśli muzycznéj według tych wzorów, o poprowadzenie jéj w kierunku tak dla niéj koniecznym, żeby formie polonezowéj odpowiadała pod każdym warunkiem. Pieśni te widać z dotychczasowych kompozycji p. Oborskiego że nie są mu obce, ale bez studji obszernych nad niemi, bez wcielenia się w nie i przeniknienia, nie rozwinie się nigdy odpowiednio do posiadanego talentu. Pole pracy jakie obrał p: Oborski jest piękne, czas przed nim długi, początki wiele obiecujące. jeżeli więc nie opuszczą go chęci i zapał, przyszłość można mu wróżyć bardzo świetną, któréj mu życzę całem sercem.

O UBIORACH

KORESPONDENCJA Z PARYŻA.

Sprawozdanie dzisiejsze zaczynamy od strojnych sukien którémi zarzucone dziś wszystkie magazyny paryzkie. Z pomiędzy jedwabnych zwróciły uwagę naszą, Brokatele Lyońskie, przerabiane w bukieciki na tle białem, niebieskiem, jasno zielonem, popielatem lub szamoa. Daléj idą gładkie mory i atłasy, którym my dajemy pierwszeństwo nad wszystkiemi innemi, gdyż są tańsze i praktyczniejsze. Uważaliśmy także materje przerabiane w pasy pluszowe, lub w rzucik aksamitny, inne znów w pasy *chinées* w różnych kolorach. Bardzo nam się podobały materje czarne, w rzucane bukieciki z kolorowych kwiatków; taka suknia nie potrzebuje już żadnego garnirunku.

Większa jeszcze rozmaitość daje się spostrzegać w sukniach lekkich, przeznaczonych do ubrania dla młodych panienek i mężatek. Z tych podobały nam się bardzo białe illuzjowe, w rzucik srebrny albo złoty. Na niektórych oprócz rzuciku, oznaczone były szarfy w bliskich od siebie odstępach. Szarfy te nie są osobne, lecz wyrobione na spódniczce pelą pąsową mięszaną ze złotem, bywa ich zwykle siedm, przednie są znacznie krótsze. U dołu tych szarf, wyszyte są rozetki białemi perłami, zpod tych spada frendzla jedwabna pąsowa, mięszana ze złotem lub ze srebrem stosownie do rzuciku.

Podobała nam się też bardzo illuzja biała, w rzucik z pąsowych piórek, lub też w bukiecik z różnych kwiatków w części haftowanych jedwabiem, w części nalepianych różnokolorową materją.

Suknie krepowe różowe lub niebieskie, naszywają u dołu szlakiem z białych pereł, od stanu w koło spódnicy spada pięć szarf krepowych, naszytych perełkami. Zamiast pereł używana także biała sieczka. Do sukien kolorowych a nawet i białych, ślicznie też wyglądają szarfy spadające od pasa czarne koronkowe *Cambray* naszyte pacioreczkami z lawy. Stanik zdobi odpowiednio mała berta.

Widzieliśmy piękną ślubną suknię, przybraną podobnież szarfami: suknia była atłasowa biała, powłóczysta, szarfy koronkowe spadały od pasa na spódnicę. Stanik pod szyję spinał się na rząd emaljowanych guzików, w formie kwiatu pomarańczowego. Wielki welon illuzjowy pokrywał głowę, spadając na twarz według tutejszego zwyczaju. Przez illuzją widać było wijące się loki w tyle głowy, i maleńką gałązkę kwiatu pomarańczowego, wetkniętą z niechcenia pomiędzy włosy.

Inne ubranie panny młodéj odznaczało się wielką prostotą połączoną z wytwornym gustem. Suknia biała kaszmirowa powłóczysta, objęta była grubym sznurem jedwabnym. Staniczek gładki pod szyję, spinał się na takie guziki jakieśmy opisali poprzednio. Wiele też sukien ślubnych ubierają puszkiem łabędzim. Do zarzucenia używane rotondy, w koło puszkiem objęte.

Na wieczory tańcujące dla młodych osób, zapowiadają suknie krótkie niedotykające nawet ziemi, w górze zupełnie płaskie i w kliny, rozszerzone tylko u dołu. Czy ta moda upowszechni się w Paryżu, doniesiemy wkrótce naszym czytelniczkom.

Do strojnych sukien na wieczór, przyjęte powszechnie białe jedwabne pończoszki, haftowane w bukieciki z różnobarwnych kwiatków, odpowiednie ubraniu. Widziemy niekiedy same tylko kliniki po bokach haftowane kolorowym jedwabiem albo złotem. Trzewiki do tego wycięte bez bandaży, na obcasach, ozdobione rozetą z białéj wstążki. Do sukien wizytowych lub na proszony obiad, noszą pończochy jedwabne koloru sukni, i takież trzewiczki atłasowe, z wielką rozetą z przodu. Na ulicę do kolorowych spódniczek używane pończochy wełniane w pasy lub w kraty w odpowiednich kolorach, buciki do tego skórkowe.

Okrywki do wejścia na teatr lub na wieczór zwane *sortie de bal* robią zwykle w formie rotond. Uważaliśmy między innemi pąsową kaszmirową objętą wązko gronostajem, przez plecy przechodziły w podłuż trzy pasy z gronostaju; każdy pas zakończony u dołu trzema gronostajowemi ogonkami.

Inna rotonda także pąsowa kaszmirowa, zakończona była w koło wąziuchną na cal falbaneczką, fałdowaną z podwójnego kaszmiru. Nad tem szła na rotondzie szeroka na pół łokcia falbana z czarnéj koronki *Cambray*, naszyta pacioreczkami z lawy, kapturek z czarnéj koronki naszyty odpowiednio, zdobił rotondę w górze.

Ładne są mufki nowego rodzaju, czarne barankowe, przybrane z obu stron długą i gęstą frendzlą angorową czarną. W ogólności mufki mają bardzo małe rozmiary.

Do nowości tegorocznych należą także mufki czarne aksamitne, wyszyte lawowemi paciorkami w deseń, wcale nie obłożone futrem, tylko podszyte białemi królikami.

Młode panienki a nawet i mężatki, noszą powszechnie na małe wieczory spódniczki fularowe lub jedwabne, do białych muszlinowych staników. Na stanik kładzie się naszyjnik z czarnych lawowych paciorków, przytwierdzony w górze do wstążeczki morowéj lub czarnéj aksamitki. Z tyłu spadają długie końce zwane: *guides*, zakończone u dołu lawowym kwaścikiem.

Kołnierzyki wielkie koronkowe, lub tiulowe w rzucik przybrane wstawkami i koroneczką, należą do najmodniejszych, wstawka u szyi podwleczona bywa kolorową aksamitką ód któréj końce spadają z tyłu poniżéj pasa. Kołnierzyk spina się z przodu na dwie brosze, lub też na rozetki ze wstążki lub z aksamitki.

Modny też bardzo rodzaj koronkowéj krawatki, przepiętéj w środku paskiem batystowym i trzema złotemi guziczkami. Krawatka ta trzyma się na białym elastycznym sznureczku, który kładzie się pod jakikolwiek kołnierzyk, i spina z przodu na guziczek.

S. D.

Opis kaftaników, sukien, bluzek, kołnierzyków i liter do znaczenia bielizny.

N. 1. Chusteczka tiulowa w muszki (Marie Antoinette) do sukni wyciętéj, po obu stronach wstawka z prawdziwéj lub naśladowanéj walansienki, brzegami marszczona koronką. Końce spięte z tyłu. — N. 2. Stanik biały muszlinowy do kolorowéj spódniczki. Przód (plastron) naszyty ukośnie wstawkami *Cluny*, paskami haftowanemi i wodą muszlinową. Przez środek listewka muszlinowa, z obu stron koroneczka kluni. Takaż koronka u szyi. Rękawy zakończone odpowiednio. Do tego szarfa kolorowa z końcami. — N. 3. Kołnierzyk webowy. Z przodu długo wypuszczone klapki, ozdobione wstawką kluni, w koło takaż koroneczka. — N. 4. Kołnierzyk fijołkowy atłasowy lekko podwatowany, przód naszyty sutaszem czarnym i paciorkami z lawy, w koło czarna koroneczka. N. 5. Krawatka damska aksamitna wyszyta paciorkami, zakończona frendzlą. — N. 6. Koki z włosów, przytwierdzone grzebieniem złotym. Grzebień przewleczony aksamitką czarną. Od środka spadają dwie aksamitki w końcach grelotki złote. — N. 7. Krawatka jedwabna zakończona podwójnemi klapkami z naszyciem paciorkowem. Brzegiem frendzla czarna. — N. 8. Rękawek webowy do kołnierzyka z pod N. 3. Mankiet można wyłożyć na wierzch rękawa od sukni. - N. 9. Stanik biały muszlinowy w zakładki, z przodu spięty na rząd perłowych guzików, listwa płócienna, objęta z obu stron walansienką. Kołnierzyk stojący, epolety i mankiety, zarówno płócienne przybrane walansienką i guzikami. U szyi kokarda złożona z odwróconéj marszczonéj koronki, przepiętéj paskiem płóciennym i guzikami. — N. 10. Koszulka półbatystowa z karczkiem. Na karczku wpuszczona w zęby wstawka kluni, oprócz tego idą w odstępach takież medaljony. Mankiety odpowiednie kołnierzyk przybrany wstawką. Niższa część koszulki zakładana w odstępach na trzy zakładki.

N. 1. Kaftanik dęty z sukienka w kolorze *marron* fijołkowym lub popielatym, wycięty u dołu w ostre zęby. W tych zębach naszycie z sutaszu czarnego i pacioreczków lawowych, brzegiem frendzelka z sieczki. Z tyłu spadają od góry dwa końce (guides) naszyte odpowiednio, przepięte paskiem takim samym na plecach. Rękawy roztwarte u ręki objęte, frendzelką, zakończone stosownym wyszyciem.— N. Paletocik *peplum* czarny sukienny, objęty pasmanterją na dwa palce przerabianą lawowemi paciorkami; samym brzegiem idą grelotki z sieczki. W zębach stosowne kwasty. Nad pasmanterją deseń wyszyty paciorkami na suknie. Rękawy otwarte, ząb u nich zakończony kwastem. Z tyłu kokarda i końce z pasmanterji. Do ozdoby tego paletocika można użyć zamiast pasmanterji, prostéj pletni wełnianéj, naszytéj w domu paciorkami. — N. 3. Paletocik dęty granatowy sukienny, wycięty w zęby zakończone frendzelką z sieczki. Nad zębami idą drugie naszyte pasmanterją. Cały paletocik naszyty rzucikiem z czarnych pacioreczków. Mankiety i epolety naszyte pasmanterją. Kołnierzyk stojący. — N. 4. Paletot aksamitny czarny przybrany na szwach pasmanterją z paciorkami. Przód tworzy jakby kamizelkę.— N. 5. Paletocik popielaty z ciepłego wyrobu, objęty w zęby czarnym sznurem, lub aksamitką. Przód spięty na wielkie guziki z popielatéj konchy. Rękawy średniéj szerokości zakończone w zęby, kieszenie odpowiednie. Kołnierzyk stojący w zęby. — N. 6. Spódniczka tybetowa krajana w kliny, u dołu wolant fałdowany w jedną stronę, przyszyty u dołu. Wolant ten nie daje się nigdy nadpowietrzny tylko przyszyty na spódniczce. — N. 7. Spódniczka z wyrobu wełnianego, w kolorze pąsowym i czarnym w pasy, pomiędzy pasami deseń wyszyty czarnym sutaszem.

N. 1. Suknia popelinowa popielata krótka, wycięta u dołu w zęby (en créneaux) zęby objęte pletnią popielatą. Stanik wycięty z przodu z epoletami w zęby bez rękawów. Pod to stanik szafirowy tybetowy pod szyję, z długiemi rękawami. Spódniczka na spód szafirowa z wolantem fałdowanym na jedną stronę. — N. 2. Gabrjela jedwabna w kolorze dzikim, z przodu na każdym szwie dana wzdłuż sukni ruszka z takiéj samej materji. U dołu zęby objęte ruszką do koła sukni. Pomiędzy zębami idą cztery falbaneczki jedna nad drugą. — N. 3. Suknia jasno popielata wełniana. U dołu naszycie z aksamitki i czarnych szmuklerskich guzików. Paletocik czarny kaszmirowy, naszyty paciorkami. W koło grelotki z tyłu kokarda; i końce (guides). Na ramionach także kokardy. — N. 4. Suknia wełniana w kolorze fijołkowym krajana zupełnie płasko na biodrach. U dołu fałdowana falbanka, nad tem naszycie z czarnéj pasmanterji i guziczków. Stanik ubrany odpowiednio. Pasek z materjału sukni naszyty paciorkami, zakończony rozetą. — N. 5. Suknia z szafirowej gładkiéj materji poult de soie naszyta rulonikami z czarnego atłasu. Stanik gładki zapięty na czarne guziki dżetowe; baskiua *peplum* przypinana osobno, wycięta w zęby naszyte odpowiednio. W rogach idą czarne kwasty jedwabne.— N. 6. Suknia z wyrobu wełnianego czarnego w jedwabne pasy szafirowe. U dołu i na staniku, naszycie z materji tego samego koloru jak pasy. Epolety i mankiety odpowiednie. — N. 7. Suknia jedwabna popielata, przód ubrany medaljonami kluni na czarnem podwleczeniu. Na ramionach i na rękawach, takież medaljony. Każdy medaljon ogarnirowany w koło koroneczką. — N. 8. Suknia biała alpagowa naszyta aksamitką i guzikami; takiż sam paletocik.

Wszystkie litery alfabetu na haft atłaskowy i stebnek.

Opis formy berty do sukni wyciętéj, fanszonika zwanego: „Catalane“ stanika pod szyję dla panienki od 12 do 15 lat i fartuszka jedwabnego.

N. 1. Przednia część berty. — N. 2. Połowa pleców. N. 3. Całość berty. Podług numeru 1 przykroić dwie części ze sztywnej białéj petynety, podług numeru 2 jedną część w całości, składajac materjał wzdłuż linji środkowéj, zeszyć na ramieniu od litery P do O i pokryć podług napisów znajdujących się na formie, bufkami z tiulu jedwabnego. Berta obejmuje się u dołu i u góry aksamitem niebieskim na jeden centymetr i ozdabia takiemiż patkami 3 centymetry szerokiemi u dołu, 2 centymetry u góry. Wiszące końce ścięte śpiczasto, zakończone są frendzlą z białych pereł, takież samo naszycie zdobi patki jak to wskazuje rycina, i przymarszczona w około blondyna 10 centymetrów szeroka. Rękawy stosownie należy wygarnirować bufkami tiulowemi, blondyną i aksamitnem objęciem. Blondyna spada na dolną bufkę z illuzji. N. 4. Połowa fanszonika *Catalane*. — N. 5. Całość fanszonika. Czepeczek ten do domowego ubrania zrobiony jest z białego kaszmiru na cienkiéj wacie i podszewce fularowéj, garnirowany fałdowaną ruszą wycinaną w ząbki 2 i pół centymetry szeroką i koroneczką czarną tejże szerokości. Fanszonik wraz z podszewką i watą kraje się w całości, pikuje w skośną krateczkę czarnym jedwabiem i naszywa czarnemi szlifowanemi perłami. Szarfy do wiązania krajane z dubeltowego materjału i ze sztywnego muślinu na podkładkę, powinny być 66 centymetrów długie, 13 centymetrów szerokie u dołu, 6 centymetrów u góry. Linijka na formie wskazuje w którem miejscu bandaże przyszyć należy, które również garnirowane są koronką i ruszą, ozdobioną na każdym fałdzie perłą czarną. N. 6. Połowa berty. Materjał: sztywny tiul czyli petyneta, illuzja, wązka i szeroka blondynka, wstążka kolorowa 2 centymetry szeroka. Obydwa przody, jako i część tylna kraje się podług numeru 6 ze sztywnego tiulu; część idąca na plecy w całości, składając materjał prosto podług nitki, na linję oznaczającą środek. Przody z których część prawa zakłada się na lewą, na dwa centymetry, powinny być o pół centymetra węższe od części tylnéj. Bertę zeszyć na ramionach od W do Z i na tak zrobionéj formie naszywać bufki. Na ten cel marszczy się poprzecznie kawał illuzji odpowiedniéj wielkości w równych odstępach na dwa centymetry, przyszywając na formę ze sztywnego tiulu bufki podłużnie, od brzegu górnego do dolnego w ten sposób, aby bufki na ramieniu prosto naszyte były, ku przodowi zaś skośne położenie miały. Berta u dołu naszywa się kolorową wstążką 2 centymetry szeroką i takową przykrywa się wstawką blondynową. Przepięcia ze wstążki pokryte wstawką blondynową, zdobią bertę na przodzie, na ramionach i z tyłu. Wykrój około ramion obszyć marszczoną blondynką, jak również przepięcia ze wstążki na przodzie i zakończyć bertę u dołu blondyną 5 i pół centymetra szeroką lekko namarszczoną. Kokardy z kolorowéj wstążki na przodzie i na ramionach uzupełniają ubranie. — N. 7. Przednia cześć stanika dla panienki od 12 do 15 lat. — N. 8. Boczek. N. 9. Połowa pleców. — N. 10. Rękaw. — N. 11. Całość stanika pod szyję. Przykroiwszy podług numeru 7, 8, 9 i 10 po dwie części z wierzchu i z podszewki, a podług numeru 9 plecy w całości, pozeszywać stanik podług liter jednozgodnych, przednie części zaopatrzyć w guziki i dziurki do zapinania i przybrać patkami z materji odpowiedniego koloru do materjału sukni. Patki 8 do 10 centymetrów długie, 3 centymetry szerokie które zdobią stanik i rękawy objęte są ukosem aksamitnym i zakończone w śpiczastych rogach grelotkami szmuklerskiemi. Gładki epolet aksamitny objęty jedwabną wypustką z pod którego wychodzą patki i mankiet około ręki mają 3 centymetry szerokości. Pasek z materjału sukni zdobi się z boku rozetą albo kokardą, odpowiednią do patek znajdujących się na staniku i rękawach. — N. 12. Połowa paska do fartuszka dla dziewczynki od 6 do 8 lat, N. 13. Szelka. — N. 14, 15 i 16. Drabinki do spajania szelek. — N. 17. Kieszeń. — N. 18. Kieszeń innym fasonem. — N. 19. Całość fartuszka. Fartuszek czarny jedwabny 44 centymetrów długi, 58 centymetrów szeroki, garnirowany jest skośnemi pliskami, sutaszem fijołkowym jedwabnym i falbanką fałdowaną. Podług numeru 12 przykroić pasek z wierzchniego materjału i z fularu na podszewkę w całości, kładąc sztywne płótno w środek paska, objąć wypustką i przyszyć do fartuszka ułożonego we dwa kontrafałdy. Podług numeru 13 przykroić szelki z dubeltowego materjału, ogarnirować falbanką, mającej szerokości, na ramieniu 4 i pół centymetra. Szelki te przyszywają się do paska podług liter jednakowych, jak również drabinki przykrojone z dubeltowéj materji i ozdobione sutaszem fijołkowym. Kieszenie odpowiednio przybrane krajane są z dubeltowego materjału i ze sztywnego muślinu na podkładkę. Falbanka u dołu fartuszka 4 centymetry szeroka zwęża się także do boków na 2 i pół centymetra.

KORRESPONDENCJA.

Pani Józefinie Do. z Dzwo. Brakuje jeszcze do prenumeraty Tygodnika i Przyjaciela Dzieci kop. 50.

Pani Julji Brze. Motyl koronkowy naszywany dżetem do ubrania głowy, kosztuje w magazynie pani Kwiatkowskiéj rs. 1. Tuniki koronkowe dotychczas jeszcze nie nadeszły.

Panu Kazimierzowi Deń. Rolnik Polski kosztuje rs. 5 cena oprawy jest rozmaitą.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka litografowana ze wzorami kaftaników, sukien, bluzek, kołnierzyków, liter do znaczenia bielizny, oraz z formą berty do sukni wyciętéj, katalanki z białego kaszmiru, stanika pod szyję dla panienki od 12 do 15 lat i fartuszka jedwabnego.

Dodatek oznaczony N. 184.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Dodatek do Nr. 2 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 31 Grudnia (12 Stycznia) 1867 r.

DZIEDZICZKA JODŁOWCA

POWIEŚĆ,

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg.)

Pan Jerzy witał panienki — i uścisnął profesora.

— Przeszkodziłem może — wymówił następnie, spojrzawszy w około — słyszałem śpiew z przedpokoju.

— Panna Siewońska tylko co śpiewać skończyła, odpowiedziała pani Radzyńska. Później poprosimy ją znowu. Siadaj! Opowiedzżeż mi coś porabiał w tych czasach.

— Jeździłem do Krakowa. Odprowadzałem przyjaciela do Cieplic, a potem siedziałem w Żurawinie.

Panienki przysiadły się do wuja i zapytywać o różne przedmioty poczęły.

Profesor zajął miejsce obok Janiny i literacką bawił ją rozmową, rozbierając naukowo jakiś dramat, który prasę co tylko był opuścił. Powiedzmy jednak, że panna jednem go słuchała uchem a drugiem chwytała, co przy tamtym stole mówiono.

— Czy na długo do Warszawy zjechałeś?— zapytała pani domu.

— Nie wiem sam jeszcze, co zrobię z sobą.

— Przedmiot dramatu interesuje, rzecz szczęśliwie pomyślana— prawił tymczasem profesor — lecz winienem dodać że wszelkim wymaganiom sztuki zadość nie uczyniono. Są pewne warunki, od których odbiedz niewolno, jak one trzy jedności...

— Ależ takie niewolnicze krępowanie myśli... Janina nagle urwała, bo o jéj uszy obiło się nazwisko: Hilary Klimaszewski.

— Jechałem z nim od Krakowa wymówił pan Jerzy.

— Więc, pani łaskawa — zagadał profesor — mówisz że niewolnicze krępowanie myśli....

— Jest przykre.... nieznośne—Janina w téj chwili ani pomyślała o formie dramatu i jego warunkach.

— Czy znasz kuzynka Hilarego Klimaszewskiego?

— Nie, bynajmniéj! Mówiła mi tylko pani Birowiczowa z Litwy, ze jechaliście razem z Krakowa, i że twoim towarzyszem był bardzo ładny młodzieniec....

— Dramat starożytny, pani....

Janina już wcale nie słuchała uczonego wykładu.

— Hilary Klimaszewski pięknym jest nawet.

— To też pani Birowiczowa aż zapytywała o nazwisko jego, i spamiętała je.

— By sławę jego aż za Niemen powieść!—uśmiechnął się Jerzy. Rozjechaliśmy się z B... w dwie strony przeciwne, zjadłszy z sobą objad. Miał tam jakieś matrymonialne zamiary....

— *Eschyles*.... doleciało z ust profesora.

— I te zajmowały go wyłącznie....

— *Sophocles'a*....

— Lecz nie wiem co stało się daléj.

— Poznałeś także kuzyna pani Birowiczowéj?

— Dowgita. Jechał z nią od Krakowa.

— Zna go kuzynka?

Janinie tchu nie stało.

— Tylko z jéj opowiadania. Nie widzieli się lat kilkanaście, a zjechali się przypadkowo w Krakowie.

— Gdzież jest teraz pani Birowiczowa.

— W głębi Litwy.

Udręczona odetchnęła Janina.

Profesor prawił ciągle, zadowolony, że panna Siewońska tak powolnego udziela mu ucha: był pewnym, że całą jéj posiada uwagę.

— Więc pani zgadzasz się na moje zdanie?

— Jak najzupełniéj.

Szczęśliwy profesor aż pokraśniał.

— Uznajesz pani, że owe trzy jedności....

— Czy nie wie kuzynka kto z Polaków bawi obecnie w Interlaken albo Meranie. Bo czytałem właśnie w jakimś dzienniku francuzkim u Lourse'a, że dwie Polki, matka i córka, miały jakiś nieszczęsny wypadek....

Janina porwała się, i blada, drżąca, stanęła przed nim.

— W Meranie? — zapytała głosem bezdźwięcznym.

Jerzy powstał.

— Nie pamiętam, pani: w Meranie czy w Interlaken.

— Ależ co, panie. Co?

— Wywróciły nad przepaścią....

— Jezus Marya!

Pani Radzyńska rękę Janiny ujęła — i dwie panienki nadbiegły.

— Panna Siewońska ma w Meranie matkę i siostrę cioteczną — wyjaśniła kuzynowi pani domu.

— Wyratowano obiedwie....

— Och, panie! Czy to w Meranie? Może jakie nieszczęście! Janina ku niemu błagalne zwróciła spojrzenie, mając pełne łez oczy.

— W téj chwili będziesz pani wiedziała! —pochwycił czapkę i wybiegł.

Adzia poskoczyła do okna i wyjrzała lufcikiem.

— Schwycił zaraz dorożkę — zawołała — i już pędzi ku Krakowskiemu Przedmieściu, co koń uskoczyć może!

— Zapewne do Lourse'a — dodała Frania.

Pani Radzyńska pocieszała biedną strwożoną Janinę. Domięszała i panna Dubois jakeś swoje *lieux communs*. Panienki ją całowały. I tylko profesor milczał—stał wyprostowany, trzymając poręcz krzesła obiedwoma rękoma, i aż pobladł z współczucia.

W pół godziny niespełna — które Janinie długą wydawała się chwilą — posłyszano odgłos szybko lecącéj dorożki—zatrzymała się.

— Wrócił! — zawołała Adzia.

Trzask drzwi od przedpokoju — szybkie a lekkie kroki — i wbiegł zadyszany pan Jerzy, z gazetą w ręku.

— Nie w Meranie, pani, lecz w Interlaken!—zawołał — korrespondencja tylko była z Meranu.

— O, dziękiż ci, Boże! — Janina wzniosła oczy, i złożone dłonie przycisnęła do piersi. Dziękuję! Dziękuję — zwróciła się do Jerzego, podając mu rękę. Niechaj Bóg panu płaci! W téj chwili przepomniała o swoim do niego żalu.

Pan Jerzy podał jéj *Indépendence belge*.

— I jakiż to był wypadek?

— Dwie panie, matka z córką, zwiedzały okolicę Interlaken, i woźnica wywrócił po nad samą przepaścią.

— Okropnie!

— Suknie córki zawiesiły się na krzakach, i wydobyto ją zaraz. Matkę jednak dopiero po przywołaniu ludzi i po wielkich staraniach.

— Żyjącą?

— Żyła i żyje!

— Ale.... — pani Radzyńska niby zapytać nie śmiała.

— Pokaleczona, lecz będzie żyła.

Panienki ze złożonemi słuchały rączkami.

Janina tymczasem korespondencyą z Meranu przejrzała—zasełając z głębi duszy dziękczynną modlitwę, że to nie panią Siewońską i Julją ten straszny spotkał wypadek. Nie mogła jednak zwykłéj sobie odzyskać swobody i czuła się roztkliwioną dziwnie.

Po herbacie wezwały panienki wujaszka, by im którą z ulubionych zaśpiewał piosenek. Pan Jerzy z ujmującą powabnością zaraz zasiadł przy fortepianie, i zaśpiewał parę ładnych i wesołych sztuczek: miał piękny, pełen dzwięku i głos wyrobiony.

Janina na dzisiaj wymówiła się od wszystkiego. Nikt też nie śmiał prośby ponowić. Usiadła w kąciku przy kanapie, na któréj pani Radzyńska siedziała. Rozmawiały z sobą. Pani domu okazywała jéj, jak zwykle wiele względności, Janina jednak nie potrafiła nader przykrego utłumić wrażenia.

Panienki bawiły się z wujaszkiem, który poddał im się całkiem, a była to igraszka, zbarwiona śmieszkiem i młodą swobodą.

Pan Jerzy Gorysławski mógł mieć mniéj więcéj lat dwadzieścia ośm; był wzrostu wysokiego i kształtnéj budowy; ciemnych włosów i oczów; rysów dość regularnych, które uwydatniał wąs ładny i bródka. Wyraz twarzy miał nader przyjemny, a zarazem i inteligentny; uśmiech szczególniéj miły. Ubiór na nim był ciemny, zręcznego kroju, bez wymuszenia wszelkiego, bielizna wzorowo piękna; ułożenie włosów naturalne zupełnie. Obejście się i ruchy pewną elegancją znaczyły.

Pobawiwszy z panienkami — przysiadł się następnie do profesora, i poważna potoczyła się rozmowa, któréj panienki słuchały z robótką w ręku.

I to był ten człowiek, który chciałby klęknąć przed brzydotą i ogłupieniem, byle je tylko cyfry miljonów złociły?

Janina w dziwnem była usposobieniu.

— Jesteś rozstrojona, bo przeraziłaś się — rzekła pani Radzyńska, całując ją na dobranoc. Wypocznij dziecko, a jutro będzie lepiéj.

Ale ten wypoczynek nie chciał jednak przydążyć. Długą chwilę chodziła po sypialni swojéj. Wyjrzała na błotnistą śniegiem popruszoną ulicę, pustą już niemal, jak gdyby wyrzuconego upatrywała kwiatka. Może go żałowała.

To był niby *halocauste* dla pana Gorysławskiego!“ ruszyła ramionami, i okno zamknęła.

Sen dopiero nad ranem skleił jéj powieki.

W południe wbiegły panienki znowu do niéj.

— Wujaszek był u mamy odezwała się Adzia.

— Jechał z wizytą do kogoś i wstąpił — dodała Frania.

— Wieczorem znowu tu będzie.... Ale wiesz Janeczko? — i Adzia uwiesiła jéj się u szyi — że podobałaś się panu Jerzemu.

Janina zapłonęła — złą była na ten rumieniec, i więcéj pokraśniała jeszcze.

— Mówił żeś mu zaimponowała — dodała Frania, różowiejąc także — gdy wszedł, przechodziłaś wlaprzez salon, tak jakoś majestatycznie i z gracją źnie, że aż głębiéj, jak za zwyczaj, się pokłonił. Tak mówił pan Jerzy.

Janina zaśmiała się.

— I mówił, że żal mu ciebie niezmiernie było, gdy przeraziłaś się ową wiadomością z Meranu....

— A był złym na siebie, że się tak wygadał — dokończyła Adzia.

— Jeszcze potrzeba ci wiedzieć że prawie cały twój śpiew w przedpokoju słyszał.

— Zatrzymał się i stał przy drzwiach, jak opowiadał Mateusz.

Wieczorem przybył pan Jerzy na herbatę. Rozmawiał nasamprzód z panią Radzyńską, a potem przysiadł się do panien i pogadanka szła o wiele raźniéj. Pan Jerzy miał nader przyjemny tok rozmowy, a czytał wiele i znał wiele. Rozbierano różne kwestye — i we wszystkiem sąd odznaczał się jego.

Nazajutrz byli pospołu w teatrze. Przedstawiano „Szlachectwo duszy“. Janina jak zawsze, usiadła w głębi loży, a pan Jerzy za jéj stanął krzesłem. Udzielali sobie uwag, i zgadzały się ich zdanie. Gdy stary ojciec przeprasza syna: że go popchnął w sferę towarzystw wyższych, i przez to zgotował mu cierpienia—, Janina miała łzy w oczach, a Jerzy poszepnął: „Straszna prawda“.

— Jakżeż się pani podoba pan Jerzy?— zapytał jéj dnia jednego profesor, zajmując zwykłe sobie przy stoliku miejsce.

— Wykształcony, przyjemny, grzeczny—odrzekła spokojnie.

— Tak, przyznać należy, że nie ma zwykłych paniczom narowów, fumy i dumy: to jest człowiek skończony, ze zdaniem pewnem, poważnem a szlachetnem.

— Mało znam jeszcze pana Jerzego.

— Pod względem charakteru, to i ja nie mogę powiedzieć, bym go znał gruntownie, lecz ma powszechnie opinię arcydobrą. Lubo to w świecie: młody człowiek, bogaty, wykształcony, nazwiska pięknego i tak przystojny.... to i trudno ażeby miał inną! — uśmiechnął się i ramionami ruszył. Panicz zawsze!

Janina spojrzała się na mówiącego: poczciwy profesor chwalił wprawdzie pana Jerzego — lecz jednak ten nawias ostatni... przypominał nieco mową Antoniusza, niby to dla Brutusa pochwalną w dramacce Shakespear'a.

W kilka chwil potem był pan Jerzy w salonie i znowu do panieńskiego przysiadł się stolika.

Przybyło jeszcze kilka osób a w końcu i pani pułkownikowa, o której Janina wspomniała w liście swoim do pani Siewońskiéj i Julji.

Pani Pułkownikowa zaraz po przywitaniu, przemówiła do zebranych: że jeden z niższych urzędników, mający kilkoro drobnych dzieci, choruje już od pare miesięcy, i że ztąd wielki niedostatek biedną nawiedził rodzinę. A zatem zbiera kilka osób składki, by ich wesprzeć i ona także uproszoną została.

Janina powstała i szybko do swojego wybiegła pokoju. Gdy wróciła, już pułkownikowa z torebką puściła się na kwestę.

Każdy wrzucał swój datek.

Kwestarka wyłożyła następnie zebrane na stół pieniądze — i hojne okazały się dary. Były nawet dwie sztuki złota: dukat i imperyał.

— Cześć dawcy imperyała! — zawołała pułkownikowa uradowana.

— Cześć jemu!—dodała pani domu.

Janina odwróciła się: ona była dawczynią, a lękała się, by tego po jéj nie poznano twarzy.

— Wujaszek dał dukata, tom dostrzegła — wymówiła Adzia, biorąc ją pod rękę — ale któż dał imperjała? To ciekawość!

— Może profesor — rzuciła Janina.

— Hm! Hm! — Andzia pokiwała główką. Pan radzca nie dał, bo skąpy. Pani Siewońska, mieszkająca tutaj dla wychowania dzieci, wielkie ma wydatki! Pan asesor majątku nie ma, by wszędzie.... co go to same rękawiczki kosztują i wonności!—Oho!... Mama dała dziewięć złotych, my z Franią po rublu. Jańcia ileż dała?

— Także rubla.

— Ciekawości, kto dał imperyała! — i dziewczeka uspokoić się nie mogła. Chyba zresztą profesor.

A profesor wyglądał dzisiaj z utęsknieniem, kiedy to panna Siewońska przy stoliku zasiądzie i robotę swoją z koszyczka podejmie. Lecz wcale nie zanosiło się na to: bo kilka obcych osób czyniło różnicę w zwykłym trybie towarzyskim. Proszono ją także, by grała, śpiewała a potem pan Jerzy zagadał do niéj o muzyce — zapędzili się w dalszą rozmowę i o innych przedmiotach, a biedny profesor opodal, ani wiedział co ze swoją począć figurą.

Nazajutrz, gdy przybył na obiad, a była to niedziela, dostrzegła Adzia od razu, że łysinkę swoją, nową, małą, niby nie bardzo znaczną, pokrył peruczką—i wybiegłszy do drugiego pokoju, aż tańczyła po nim i śmiała się do rozpuku,

— Co też to? — dziwiła się Frania — lakierki, modny tużurek, jasna krawatka, a teraz peruczka! — i spojrzawszy na Janinę, lekko pokraśniała.

Wniesiono światło: już i samowar przy piecu syczał, a pan Jerzy nie jawił się jeszcze.

Janina za każdem drzwi stuknięciem, mimowolnie oczy zwracała, jak gdyby spodziewała się kogoś. A może to było tak sobie tylko. Potem, niby w zamyśleniu, po pokoju chodziła.

— Nudy dziś — wymówiła Adzia — nikogo nie widać, nikt nie przychodzi. Pan Jerzy jest na herbacie u pani baronowéj.

Janina nie wiedziała o tem i odtąd już ku drzwiom nie spoglądała.

— I ja panie pożegnam — wymówił profesor, siadając obok niéj z swoją filiżanką herbaty — bo jestem dziś na wieczór do kolegi proszony. Zbierają się tam pomiędzy ósmą a dziewiątą.

— To pewnie liczne będzie zebranie?

— O, zapewne. I przeciągnie się długo.

— Widać, że dziś w wielu domach są liczniejsze zebrania.

— U pani baronowéj bo zwykle świetne bywają wieczory.

— Zaprosiła nas także, ale mama odmówiła— wtrąciła Frania-

— Byłam raz także.... i znudziłam się: stroje, wymuszoność, naprężenie jakieś, a rozmowy żadnéj.... At!—profesor ręką machnął. Elegancya...

Pan Jerzy byłby pewnie wolał swój wieczorek tutaj przepędzić: nie głodny on takich zabaw.... Tutaj byłoby miléj — dodał ciszéj, strzygnął jakoś oczami, niby pokraśniał trochę, obejrzał się i odchrząknął.

Janina zmięszała się trochę.

— Lubi z panienkami bawić — profesor odchrząknął znowu — panna Frania — profesor głos zniżył — jestem pewien że to będzie para.

Janina skłoniła głowę, i już nie dopiła herbaty.

— Myślę nawet, że to już dawniejsze są plany. Miarkuję!—spojrzał na zegarek, oddał swoją filiżankę i powstał. Dziękuję za drugą! — wymówił i podjął kapelusz.

— Czy już profesorze? — zapytała pani domu.

— Jest już kwandrans na dziewiątą, a ja lubię być akuratnym. Żegnam panie moje.

— Przyjemnej zabawy!

Zajmującéj rozmowy! — zawołała Janina, a panienki dodały:

— Dobra noc, profesorze!

— Do widzenia się jutro!

„Ciemną byłam, żem się tego nie domyśliła! — powiedziała sobie Janina chodząc po salonie. To jest oczywiste! Niewątpliwe".

— Czegóżeś taka zamyślona Janinko i smutna niby?—zapytała Frania, obejmując ją, i przytuliła głowę do jéj ramienia. Cóż tobie?

— Nic mi, dziecko! — odrzekła Janina, i pocałowała ją w czoło. Pomyślałam tylko o moich ukochanych, dalekich — nie chciała wymówić, że o matce myślała, bo w téj właśnie chwili zwykłe owe kłamstwo bolałoby ją potrójnie.

Przechadzały się w milczeniu, bo głośniejsza zwyczajnie Adzia zajęła się przerzucaniem rycin.

Zadzwoniono w przedpokoju.

— Ktoś przyszedł!—zawołała Frania.

Jerzy wszedł do salonu.

— Zkądże to? — zapytała pani domu odkładając kurjera.

— Frania z Janiną przystanęły. Nic dziwnego! pomyślała ostatnia.

— Wymknąłem się na godzinkę — odrzekł gość niespodziany. Nudno tam! Osób dużo, gwarno, lecz zabawy niemasz żadnéj.

— Pani baronowa będzie o to miała pretensyą do ciebie, i *le comte George* gotów z łaski wypaść.

— Powrócę za godzinę. Może też i raźniéj wtedy będzie, bo jeszcze nie zebrali się wszyscy.

— Cóżeście panie dziś porabiały? — zbliżył się Jerzy do Janiny.

— Bawił nas profesor — odpowiedziała Frania z uśmiechem.

— Szczęśliwy profesor! Ale gdzież on jest?

— Opuścił nas po pierwszéj filiżance herbaty, bo także był zaproszonym na wielki wieczór.

Poczęły przechadzać się znowu, a z niemi i Jerzy, idąc po stronie Janiny.

Pani Radzyńska zawołała na Franię z drugiego pokoju.

Janina w tejże chwili zawróciła i przy stole usiadła—na którym Adzia dla rozrywki własnéj, wszystkie porozkładała album'y.

— Panią pokojowa znużyła przechadzka — ozwał się Jerzy.

— Znuży łacniéj, jak na wolnem powietrzu.

— Pan Jerzy rzucił się obok na krzesło, i także Album'y przeglądać zaczął.

— Pani jesteś z okolicy N. N., czy nie poznałaś pani przypadkiem pana Hilarego Klimaszewskiego? zapytał Jerzy.

— Słyszałam tylko o nim.

— Miał on zamiar oświadczyć się o bogatą pannę w tamtych stronach: o pannę Swiętoborską z Jodłowca. Czy pani niewiadomo, jak ta zakończyła się konkurencya?

Janinie tchu zabrakło. Zakaszlała, i chusteczką przysłoniła lica — a potem spokojnie odrzekła:

— Nie umiem panu odpowiedzieć na to.

— A znasz pani pannę Swiętoborską?

— Nie, panie.

— Mówią, że jest wykształcona, ładna i pełna wdzięku.

— Słyszałam przeciwnie.... Ale tak bogate dziedziczki zawsze są piękne i rozumne — i uśmiechnęła się dziwnie.

— Jak dla kogo! — odrzekł pan Jerzy, niby urażony trochę — dla panów Klimaszewskich .... zapewne.

— Panna Swiętoborska jest bardzo bogata, jak słyszę.... ależ z tem wszystkiem i biedną bardzo— wymówiła Janina z goryczą pewną, i na dłoń pochyliła czoło.

— Rozumiem panią! I może nie być szczęśliwą wcale, jako bogata dziedziczka Jodłowca, bo są nikczemni, którzy tylko majątku szukają.

Janina milczała.

— Pani sądzisz może, że to jest dziś ogólnem.

— Tak słyszałam nieraz.

— Niestety, że to, naprawdę, bywa często! Ależ nie wszyscy li-tylko za posagiem gonią.

— Inni za pięknością!—ozwała się Adzia.

— Biada i temu, którego tylko zwierzchnia zajmie piękność, bez innego wyższego wdzięku. I biedną nazywam kobietę, która tylko jest piękną, nie posiadając innych powabów i zalet.

— Ciekawam, kogo też sobie wujaszek wybierze!

— Janina milczała.

— Czy pani nie masz wiary w uczucie prawdziwe i czyste? — zwrócił się Jerzy znowu ku niéj.

— Wierzę, że istnieć może i istnieje.... ale tam tylko, gdzie złoto nie olśniewa wzroku — dodała głosem stłumionym.

— Pani wierzysz w miłość?

— Nic na to odpowiedzieć nie umiem — odrzekła i powstała. Spotkała wzrok jego, tak jakoś dziwnie wymowny, że aż po kraśniała.

Właśnie nadbiegła Frania z drugiego pokoju. Janina przystąpiła do niéj i pocałowała ją w czoło. Wzięły się za ręce i posalonie chodzić poczęły!

Nadeszła pani Radzyńska — rozmowa stała się ogólną. Pan Jerzy około jedenastéj się pożegnał, by pójść na wieczór do baronowéj!

Janina w swoim pokoju, znowu długo w zadumaniu chodziła. Jakieś dziwne dolegało jéj uczucie — i owo wymowne spojrzenie Gorysławskiego!

— A pomyślała: „Lepiéj było w tę nie rzucać się *Charybdis*.

VII.

Arytmetyko!—wężowemi sploty,
Tyś opasała wielką pierś ludzkości—
Niby ów pierścień; Saturnowy — złoty—
Wgryzłaś się w serce—w mózgi—w szpik i kości:
Nie sądzę—czyliś zbawieniem —czy zgubą—
Tylko po polsku ochrzcę cię rachubą.—

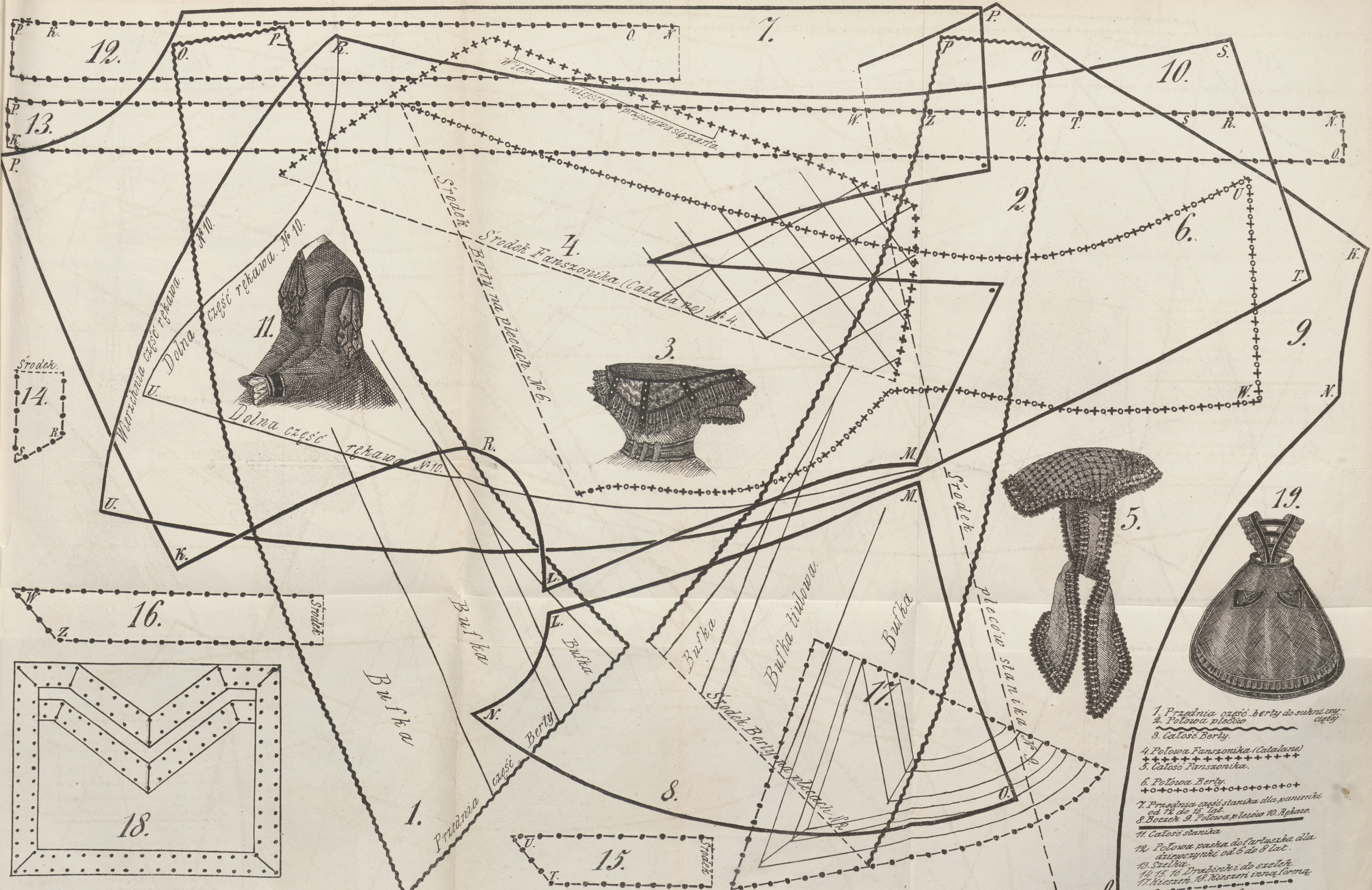
Na dzisiaj.
Rapsod tragi komiczny.

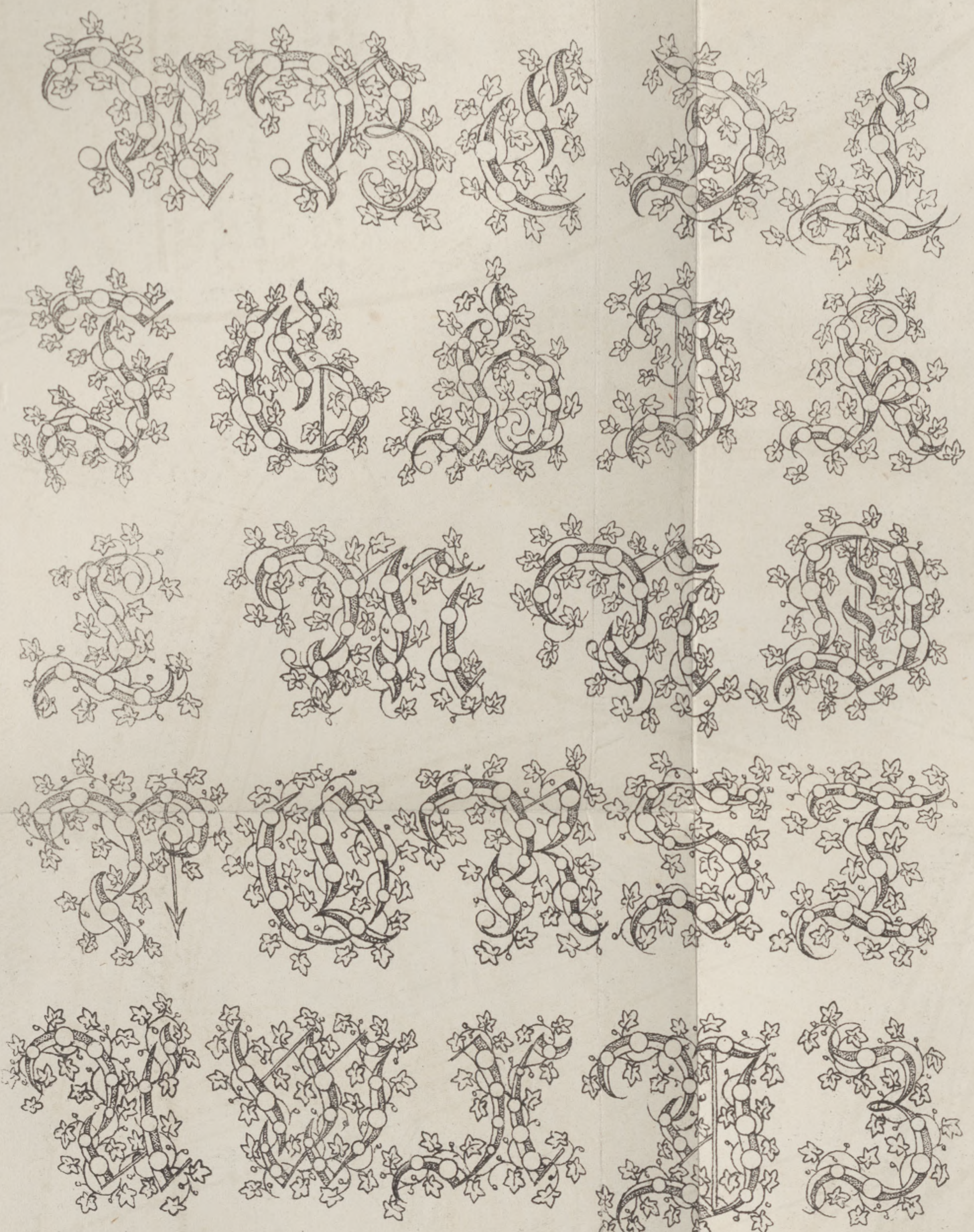
Janina była właśnie w salonie, gdy anonsowano wizytę hrabiny Broniwirskiéj z córką.

— Proszę! — wymówiła pani Radzyńska — nie wiedziałam, że te panie są w Warszawie. Poznasz piękność sławną—zwróciła się do Janiny — w osobie panny Klotyldy.

Weszła poważnie wyglądająca pani Broniwirska. A za nią piękna jéj córka. Janina miała dość czasu przypatrzeć się obiedwom, gdy je pani Radzyńska witała, obsypana przez nie tysiącem grzeczności.

(d c n)


Środek Fanszonika (Catalane) № 4.
Środek Berty na plecach № 6.
Wierzchnia część rękawa № 10.
Dolna część rękawa № 10.
Dolna część rękawa № 10.
Środek pleców stanika № 9.
Środek Berty na plecach № 6.
Bufka
Bufka tiulowa
Przednia część Berty
Środek
Wzorem niższym przyszywa się szarfa.
1. Przednia część berty do sukni wyciętej.
2. Połowa pleców
3. Całość Berty.
4. Połowa Fanszonika (Catalane)
5. Całość Fanszonika.
6. Połowa Berty.
7. Przednia część stanika dla panienki od 12 do 15. lat.
8. Boczek 9. Połowa pleców 10. Rękaw.
11. Całość stanika
12. Połowa paska do fartuszka dla dziewczynki od 6 do 8 lat.
13. Szelka.
14. 15. 16 Drabinki do szelek.
17. Kieszeń. 18. Kieszeń inną formą
19. Całość fartuszka.




1
2
3.
4.
5
6.
7.
8.
9.
10.



